FUNDAMENTY · OPINIA

EKUMENIZM. A KOMU TO POTRZEBNE?

Michał Kmieć · 17 stycznia 2025

Końcówka stycznia to w Kościele katolickim przeżywany od 1910 roku Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan. Ekumenizm jest jednym z *owoców* ostatniego Soboru żywo dyskutowany w środowiskach katolickich. A jednak – jego działalność wydaje się o wiele mniejsza, o wiele mniej ciekawa, niż cała otoczka wokół niego mogłaby sugerować. Ostatnio jeden ze studentów podzielił się ze mną prostą opinią: „z tym ekumenizmem jest coś nie tak" – i trudno odmówić mu racji.

Niniejszy tekst nie jest żadnym wykładem dogmatycznym czy apologetycznym. Dotyczy raczej warstwy, o której modnie mówi się dziś jako pastoralnej; codziennego życia Kościoła w Polsce. Nie będę ukrywał, iż jako polski katolik nie posiadam nieskończonego skarbca relacji z chrześcijanami niekatolikami. Wśród znajomych i osób, z którymi mam okazję się spotykać, jest wywodząca się zresztą ze środowisk narodowych osoba prawosławna oraz kilku protestantów, reprezentujących wspólnoty luteran, kalwinów i metodystów (połowa z nich konwertowała z katolicyzmu). Właściwie wszyscy z jednym wyjątkiem są osobami głęboko zainteresowanymi sprawami wiary. Znałem niegdyś osobę należącą do wspólnoty zielonoświątkowej, ale o tym fakcie dowiedziałem się po tym, jak traciłem z nią kontakt. Zresztą, jak sama mawiała: „była wierzącą z tradycji rodzinnej". Czy jest nią teraz? Nie wiem. Skala laicyzacji w Polsce nie dotyka wyłącznie katolików.

Skromne może to doświadczenie, ale jak na polskie warunki i tak bogate. Mówię o tym dlatego, że ekumenizm jest pewną modą katolickiego mainstreamu. Tydzień modlitw odbywający się od 18 do 25 stycznia jest tego najlepszym potwierdzeniem. Odbywa się wtedy wiele lokalnych nabożeństw, które znikają z przestrzeni eklezjalnej szybciej, aniżeli pojawiające się o nich zaproszenia w ogłoszeniach parafialnych, a spora część polskich biskupów, publicznie (szczerze jak sądzę) opowiadająca co rok te same banialuki, wraca jakby z ulgą do normalnej rzeczywistości kościelnej zaraz po komplecie w Święto Nawrócenia św. Pawła. W normalnym życiu Kościoła działalność ekumeniczna dla przeciętnego kapłana jest problematyczna i uciążliwa niczym Msze dla dzieci. I nie – nie jest to żaden wymiar niezgody na soborowe nauczanie, a raczej próba zadania zasadnych pytań wobec panującej formy uprawiania tego dialogu.

> Krytyka formy nie oznacza zamachu na istotę rzeczy. Zdaję sobie sprawę z tego, że wątpliwości wyrażone w niniejszym tekście łatwo mogą być zapchane retoryką o nieposłuszeństwie, brakiem wiary, zamachu na nauczanie Papieża i łzami obawy przed „przegraną prawdziwie ewangelicznego Kościoła". Wiem jednak, iż w Kościele w Polsce są biskupi i teolodzy, którzy z dobrą wolą przyjęliby wątpliwości, by się nad nimi pochylić.

Nie wchodząc w historyczne dywagacje nad samym pojęciem, ekumenizm, tak jak rozumie go dziś większość wierzących, jako ruch prowadzący do jedności chrześcijan nie jest niczym nowym. Pamiętamy wielkie dyskusje przed sądem rzymskim donatystów z katolikami pod wodzą Augustyna z Hippony. Pamiętamy *Colloquium charitativum* w toruńskim ratuszu, gdzie katoliccy, prawosławni i protestanccy teolodzy na prośbę Władysława IV Wazy zebrali się, by ustalić wspólnie, „kto ma rację". Wiemy, że samo dojście do prawdy teologicznej, to jest przekonanie na argumenty, wcale nie kończy sporów, które tkwią o wiele głębiej, aniżeli w warstwie czysto poznawczej i słusznie dekret *Vaticanum Secundum* naucza, że pojednanie chrześcijan w jednym i jedynym Kościele przekracza ludzkie siły oraz zdolności. Jednakże czy aby na pewno pozbawianie się wymiaru rozumowego jest odpowiednią drogą do upragnionej jedności? Bywały lata, gdy teolodzy Kościoła wraz z przedstawicielami innych wyznań publikowali wspólne deklaracje, dziś takie dokumenty kojarzymy z niesławną deklaracją z Abu Dhabi (owoc dialogu z wybranymi duchownymi islamskimi).

To jednak dzisiejszy dialog ekumeniczny wydaje się coraz mniej dialogiem, coraz mniej spotkaniem „w Prawdzie", a jakimś woluntarystycznym pseudomistycyzmem obarczającym odpowiedzialnością trzecią osobę Trójcy Świętej. Słyszy się czasami: „nie wiemy jak i kiedy dojdzie do jedności chrześcijan, dlatego pragnąc tego, spotykamy się na wspólnej modlitwie, powierzając się działaniu Ducha Świętego". On dziś często jest identyfikowany z rzeczywistością uczuć (jako sprawca efektów specjalnych, miłej atmosfery) albo „czystej woli" (ekumenizm jako pragnienie). Wydaje się to dziwne, gdyż Duch Święty przychodzi, aby uobecnić Chrystusa, który mówi o sobie, że jest Prawdą (J 14, 6), wcielonym Słowem (to jest *Logosem,* który tłumaczy się także jako Rozum i Sens), a o ile otrzymałem dobrą formację katechetyczną, jednym z Jego darów jest dar rozumu. Tymczasem dziś bombarduje się wiernych nabożeństwami bez ładu i składu, „bo tak trzeba", „bo to nasza powinność", bo „właśnie tego chce Chrystus". Do tego dokleja się wygłaszane z absolutnym przekonaniem stwierdzenie, że „kiedyś niewierzący byli zgorszeni, bo misjonarze różnych wyznań kłócili się między sobą". Z całym szacunkiem, czy dialog ekumeniczny cokolwiek w tej sprawie zmienił? Czy współpraca chrześcijan i wzajemna życzliwość nadała misjom nowy impet, a może żyjemy w świecie zwijania się misji? Może tak naprawdę to bardziej wydumany przez intelektualistów problem, który nigdy nie miał większego przełożenia na powodzenie misji. Misji, które niestety z przykrością muszę powiedzieć (a przynajmniej tak przedstawiane są w kazaniach wygłaszanych przez zapraszanych misjonarzy) skupione są na budowie nowej studni, szpitala i szkoły (co samo w sobie jak najbardziej można uzasadnić Ewangelią, tylko czy to jest istota misji?). Nie przeczę, że wymiaru chrystocentrycznego misje są pozbawione, lecz tak są często na ambonie przedstawiane (z wyjątkiem misjonarzy, którzy posługują w Kazachstanie lub dalekiej Rosji, ale ich w Polsce można spotkać stosunkowo rzadko).

Ta nieznośna, męcząca forma przybiera dodatkowo maskę tak zwanego *love bombingu*. Otóż okazuje się, że samo spotkanie z drugim człowiekiem, jakim jest wierzący niekatolik, jest „cudem wspaniałym", „wydarzeniem niesamowitym" czy „przełamaniem odwiecznych stereotypów". Naprawdę? Naprawdę? Otóż... to nieprawda.

> Sama życzliwa rozmowa, także na tematy wiary, jest czymś... absolutnie normalnym. Nie chcę zakazywać zachwytu nad codziennością i doceniania rzeczy zwykłych, ale znajmy miarę.

Możliwe (nie wiem, choć wątpię w to), że duchowni wyznań chrześcijańskich mieli jakieś problemy komunikacyjne ze sobą przez ostatnie wieki, ale czy zwykli Polacy nie żyli, nie mieszkali, nie pracowali, nie rozmawiali ze sobą pomimo różnic wyznaniowych? Otoczka cudowności jest męcząca zresztą zarówno dla katolików, jak i niekatolików.

Przyznam szczerze, że moje spotkania z wymienionymi wyżej protestantami często miały podłoże wzajemnej fascynacji chrześcijaństwem. Nasze rozmowy należą do normalnej ludzkiej egzystencji. To sprawy wiary, a nie wzajemne odmienności stanowią motor do rozmowy, a w nich w ogóle trudno wyczuć aurę czegoś niesamowitego. Tak samo rozmawiam o sprawach wiary z niewierzącymi. Rozmowy te bywają pełne pasji, ale i ludzkich emocji. Pamiętam jak kilka lat temu z pewnym luteraninem (który kształcił się na pastora) wymieniałem się „argumentami ostatecznymi", wtedy, gdy rozum nie potrafił z jednej i drugiej strony pójść dalej. Pojawiające się wtedy słowa *heretyk* i *papista*, choć wypowiadane zdecydowanie, były także wyrazem sympatii i zaangażowania, które nigdy nie prowadziło do zerwania relacji. Wielki dialog ekumeniczny oficjalnych duchownych jest nieco oderwany od rzeczywistości. Tam „na dole" zwykli ludzie rozmawiają normalnie, po ludzku i bez lęku poruszania tematów trudnych. To jest ekumenizm. O sprawach wiary chrześcijanie różnych wyznań chcą rozmawiać normalnie, najlepiej przy kuflu piwa.

Szczególnie irytujący wydaje się powtarzany jak mantra przez niektórych duchownych zwrot „bracia protestanci". Dodatkowo zawsze z uporem dodając, że „możemy się od nich uczyć miłości i znajomości Biblii", co w Anno Domini 2025 wśród zaangażowanych katolików (co przyznają także moi znajomi niekatolicy) naprawdę trudno uznać za prawdę. Ani zaangażowani katolicy nie mają tak małej wiedzy biblijnej, ani wszyscy protestanci nie posiadają jej w małym paluszku. Jeśli ekumenizm miał rozprawiać się ze stereotypami, to część z nich być może mocniej dotyka samych szturmowców tej drogi. Warto tu zauważyć, jak bardzo forma tego dialogu pochodzi z Zachodniej Europy, gdzie największą grupą niekatolicką są protestanci, często z państw, gdzie „nasi" nie stanowią większości, jak w Polsce. To wszystko nie bardzo jest przystosowane do Polski, zwłaszcza Wschodniej, gdzie występuje o wiele bliższe nam prawosławie, które zdaje się raczej mało obecne. Oczywiście, spotykając człowieka, który się różni od nas w sprawach fundamentalnych, zarówno z punktu widzenia kultury osobistej, jak i cnoty roztropności, nie wymienimy na dzień dobry (jak niektórzy młodociani tradycjonaliści na internetowych forach) litanii błędów dogmatycznych, kończąc wezwaniem do nawrócenia. To sprawa oczywista. Ale czy „nieraniący język ekumeniczny" musi wchodzić tam, gdzie ekumenizmu nie ma? Musi dominować w liturgii katolickiej? Uśmiecham się czasami, gdy przytomni księża, w owym Tygodniu styczniowym, korygują na bieżąco wezwania modlitwy wiernych, prosząc: „o jedność chrześcijan" z dodaniem po wymownej pauzie do namysłu „w jednym Kościele katolickim". Bo też i liturgia katolicka jest katolików. Ale prawdziwym kuriozum są niektóre opracowania nowenny przed Bożym Miłosierdziem, opartej na słowach z Dzienniczka św. Faustyny, gdzie cenzuruje się słowa Jezusa. Prośba o modlitwę za „heretyków i schizmatyków" brzmi przecież nieekumenicznie, więc proponuje się (ludzką, bo przecież nie Boską) korektę w postaci: „braci odłączonych".

> Tych kilka ustępów na temat codziennej rzeczywistości Kościoła w Polsce wystarczy, by odeprzeć podstawowe zarzuty części tradycjonalistów, którzy widzą w ekumenizmie zaprzeczenie podstawowych prawd wiary na temat Kościoła oraz jego „postępującą protestantyzację". Dialog ekumeniczny w dzisiejszym wydaniu jest nudny, jałowy i nieciekawy. Jest męczący dla katolików

> i niekatolików.

Wspólne modlitwy w takim wydaniu spokojnie mogłyby odbywać się bez tych wszystkich oficjalnych spotkań. Nie mam powodu negować siły modlitwy zanoszonej z wiarą, choćby z gorliwymi amerykańskimi baptystami pod kliniką aborcyjną. Nie wpisuje się to jednak w otoczkę ekumeniczną. Jak wskazuje od lat ks. prof. Andrzej Kobyliński, spotykamy się z falą pentekostalizacji (globalny proces tworzenia wspólnot zielonoświątkowych oraz transformacji innych kościołów chrześcijańskich w uniwersalną formę charyzmatycznego chrześcijaństwa), ale ta dotyka także tradycyjnych protestantów i jest domeną wspólnot charyzmatycznych, w których dominuje inspiracja nie tyle teologami protestanckimi, ile… liderami danych wspólnot. Niegdyś jeden z moich znajomych metodystów przyznał, że o wiele mocniej woli ciszę i milczenie niż wszystkie te koncerty uwielbienia.

Od rozmowy z niekatolikiem na temat wiary, a nawet wspólnego *Ojcze Nasz* nikt wyznania nie zmienia. Na ten moment dialog ekumeniczny ani nie jest zagrożeniem, ani niespecjalnie jest szansą, ani wielkim sukcesem. Jest pozbawionym większego namysłu i celu tradycyjnym już, wręcz rytualnym, teatrem, który trzeba odegrać, choć nie odbieram aktorom szczerości serca. Trochę jak z Dniem Judaizmu w Kościele katolickim w Polsce. Od lat przebiega on mniej więcej tak samo. KEP organizuje oficjalną konferencję pod przewodnictwem kard. Rysia, z udziałem rabina i szanownego prof. Jana Grosfelda, który co roku przytacza argumenty ze swojej książki *Dlaczego chrześcijanie potrzebują Żydów*. Potem na kilku portalach związanych z Tradycją Katolicką ukazują się rozmowy lub teksty o tym, jak bardzo ten dzień jest niepotrzebny. A wczesnym wieczorem (jak to zimą) publiczne życie eklezjalne zamiera i z ulgą wracamy do codzienności. Łzawe, sentymentalne przekonywanie do tego, że „Bóg pragnie jedności", a każdy, kto krytykuje ekumenizm, powinien „się nawrócić", są słowną manipulacją i przemocą. Nie jestem przeciwny ekumenizmowi, tak jak i moi znajomi niekatolicy, którzy uznają za pożyteczne wzajemne spotkania wokół wiary. Trudno jednak obecną formę dialogu ekumenicznego uznać za coś więcej niż pobożny odruch serca, który coraz mocniej przypomina martwą „tradycję". Może trzeba poszukać nowych form? Telewizyjna debata między kard. Ratzingerem a Habermasem do dziś jest przedmiotem dyskusji i komentarzy.

> Nie można by zorganizować pasjonującej dyskusji między naszą mądrą głową a „ich" na temat historii Soborów albo rozumienia Tradycji? Boimy się przegranej? Odpływu wiernych? Czy taka postawa nie jest pochodną tego, co często jest krytykowane w Kościele, mianowicie traktowania wiernych jak małych dzieci? Ekumenizm miałby o wiele ciekawszy wyraz w 2025 roku, gdy w jedności przedstawiciele różnych wyznań przedstawiliby swoją opinię na temat reform, jakie próbuje wprowadzić w oświacie minister Nowacka…

Kościół potrzebuje przemyśleć katolicki fundament w tej kwestii. Mam nadzieję, że także polska hierarchia odejdzie od „władzy i posłuszeństwa", nawołując do wzmożonych wysiłków ekumenicznych, lecz w duchu synodalności pochyli się nad wątpliwościami wiernych i wykona teologiczną pracę właściwą urzędowi nauczycielskiemu. Wielu teologów lęka się tego zadania. Lepiej spotkać się w miłej atmosferze, niż zadać sobie pytanie, jak bardzo przez ostatnie dekady zmieniło się chrześcijaństwo. Spójrzmy na pro-

testantyzm. Niewątpliwie wiele wspólnot, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, wciąż należy do pierwszej linii obrony prawa naturalnego. Ale idąc tropem św. Pawła, niejako patrona Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan, czy „światłość ma coś wspólnego z ciemnością" (2 Kor 6, 14)? Jeżeli słyszymy o protestanckich biskupkach żyjących w związkach lesbijskich, pastorach promujących pornografię i zbory, które nie tylko nie potępiają, ale uznają za zasadną aborcję, to ciężko dialogować z czymś, co ma oblicze jawnie demoniczne. Kij w mrowisko muszą włożyć świeccy i zapytać się wszystkich pobożnych, jak sądzę heroldów owego ekumenizmu, czy aby przypadkiem nie postępują nieco bezmyślnie? Zadać proste z troski i życzliwości pytanie, ile w dzisiejszym ekumenizmie jest prawdy (nie w znaczeniu dogmatów, ale trzeźwego osądu rzeczywistości, oceny owoców współczesnego ekumenizmu), a ile sentymentu, marzeń i ułudy. Jedności nie odzyska się ludzkimi drogami, nie należy oceniać spraw duchowych poprzez ilościowe efekty tu i teraz. Potrzeba jednak korekty, przemyślenia.

W znakomitej książce Michała Gołębiewskiego *Niewiasta z perłą* natrafiłem kiedyś na zdanie, które utkwiło mi głęboko w pamięci i stanowi odpowiedź wiary na przedstawione w tekście wątpliwości. Wiary rozumnej, ale głęboko zakorzenionej w Tajemnicy, jest to zatem w rzeczywistości owoc *sensus fidei*. Kimś, kto z natury stworzonej przez Boga najbardziej troszczy się o zgodę i jedność dzieci, jest Matka. Ulf Ekman, niegdyś lider zielonoświątkowy, podzielił się w swym świadectwie nawrócenia na katolicyzm, że impulsem do niego była intelektualna fascynacja osobą Bogurodzicy. W sanktuarium maryjnym w Świętej Lipce na Warmii zniszczono podczas Reformacji kaplicę z cudowną figurką. Opiekujący się sanktuarium ojcowie jezuici poświęcili je ku czci Matki Jedności Chrześcijan. Droga ekumeniczna wiedzie przez Maryję, Matkę Kościoła, Matkę wszystkich wierzących.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=pKMRQyKfhOY

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/ekumenizm-a-komu-to-potrzebne/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć